

## Dolina Nicości

Coście zrobili z tym krajem? (...) Ja chciałbym być osądzony! Chciałbym móc się przyznać i wysłuchać prawdziwego wyroku. I dlatego opowiadam ci to.



"Słyszemy dużo o czwartej Rzeczypospolitej. Czy nie jest tak, że aby ją powołać, należy skompromitować trzecią? Skompromitować ludzi, którzy ją tworzyli, i to nawet takich, jak profesor Marian Lew? Człowiek bez zarzutu, wielki naukowiec, autorytet moralny?" - przeczytaj fragment książki Bronisława Wildsteina pt. "Dolina nicości". Publikujemy go wracając pamięcią do postaci Stanisława Pyjasa, studenta i opozycjonisty czasów PRL, którego 40. rocznica skrytobójczej śmierci minęła 7 maja

Dzień zaskakuje nas. Nie sposób przewidzieć wydarzenia, które za moment zmieni nasze życie. Wchodzimy na rynek od ulicy Szewskiej i idziemy w kierunku przeznaczenia, które pod postacią innej osoby nadchodzi już z drugiej strony Sukiennic. Za moment spotka nas i nic już nie będzie takie, jak wcześniej. Tylko że nigdy nic nie jest takie jak wcześniej, chociaż przecież naprawdę zmienia się tak niewiele. Trzysta kilometrów stąd, wczoraj, a może jeszcze wcześniej, w mieście stołecznym Warszawie, uruchomiona została lawina wypadków, które wstrząsną krajem i zmienią losy wielu ludzi. Będą przyczyną karier i upadków, sukcesów i katastrof. Zmienią wszystko, mimo że właściwie nie zmieni się nic.

Teraz jednak sławny dziennikarz ogólnopolskich mediów Jan Return podnosi się niepewnie z pseudorokokowego krzeselka kawiarni „Redolfi” i odkrywa jak trudna jest ta prosta czynność. Przez szybę śledzi plecy swojego przyjaciela, swojego byłego przyjaciela, postać, która oddała się i ginie w tłumie. Dopiero po kilku chwilach, kiedy Struna zniknie już, ciągle jeszcze oszołomiony Return wyjdzie na rynek i będzie szedł, usiłując odzyskać spokój, próbując przywołać mgiełkę nostalgii, którą rozbijały dźwięczące mu w uszach słowa byłego przyjaciela.

A przecież dzień zaczął się tak dobrze. Przedpołudniowe spacerowanie po rynku Return lubi bez względu na porę roku. Spacerowanie te są być może główną przyczyną jego regularnych wizyt w Krakowie, choć zawsze musi znaleźć dla nich jeszcze praktyczne uzasadnienie, jakby nie było go stać na chwilę szaleństwa i przyjazd do tak ważnego dla siebie miasta wyłącznie dla cierpkiej przyjemności, jaką dostarcza mu jego kontemplacja. Stopy prowadzi kierunek ulic i może niejasne impulsy,

których Return nie musi sobie uzmysławiać. Oddawał się nastrojowi, który wyłączał myślenie i wolę i trwał w nim do momentu, gdy z grupki przechodniów naprzeciwko wyodrębniła się znajoma sylwetka.

Jakim cudem jeszcze żyje, pomyślał Return na widok ciemnej postaci, która nie wiadomo skąd wyłoniła się przed nim na rynku. Usłyszał to pytanie, jakby wypowiedział je ktoś obcy. Dokładnie w tym brzmieniu odzywało się ono w jego uszach za każdym razem, kiedy trafiał na Daniela Strunę, niby przypadkowo, a od jakiegoś czasu niemal zawsze, kiedy przyjeżdżał do Krakowa, chociaż wcześniej nie widywał go tu latami. Niby przypadkowo, bo Return zaczął podejrzewać, że jego były przyjaciel czatuje na niego. Nieprawdopodobne. Zwykle na przyjazd decydował się w ostatniej chwili i nie konsultował go z nikim. Skąd mógłby wiedzieć o tym Daniel? Bezskutecznie próbował odsuwać od siebie podejrzenia, kiedy dostrzegał skuloną sylwetkę zmierzającą w jego kierunku. Tak jak teraz, gdy oderwała się od grupki przechodniów zmierzających od wyjścia z Siennej w kierunku Sukiennic. Zbliżała się, krystalizowała coraz bardziej i Return rozpoznawał już, choć nie wiedział jak, w tej zgarbionej, chudej postaci swojego dawnego przyjaciela.

Zwykle po nieobowiązującej wymianie zdań, kiedy cisza zaczynała im ciążyć, albo, gorzej, gdy niechciany towarzysz, który przyłączył się do jego spaceru, czyniąc go coraz bardziej nieznośnym, bełkotał nieskładnie, że przecież nie tak to sobie wyobrażali, pozbywał się go za cenę trzydziestozłotowej, niekiedy nawet większej pożyczki, do tematu której nigdy później nie wracali. Za pierwszym razem dał Strunie dwadzieścia złotych. „Czy wystarczy na pół litra? Przystaję wiedzieć, ile kosztuje butelka. Tracę kontakt z życiem tego kraju...” – pomyślał

wtedy Return z rozbawieniem. Ale kiedy oddalił się parę kroków od Daniela kontemplującego banknot na dłoni, zrobiło się mu głupio. Wrócił prawie biegiem i dołożył drugie tyle.

Teraz jednak, po paru nieuważnych pytaniach i odpowiedziach, kiedy wręcz odruchowo zapytał, czy nie pożyczyć Strunie kilku złotych, z zaskoczeniem usłyszał, że dawny druh chce rozmawiać. Daniel podniósł głowę i popatrzył prosto, wycelował w niego szarą twarz ze sterczącym dziobem nosa na tle dwóch wież kościoła w spirali ptaków. Return spojrział w bok. Chmury nad rynkiem, nad gęstniejącym, nieuważnym tłumem przechodniów były coraz ciemniejsze.

– Muszę z tobą pogadać – powtórzył Daniel dramatycznie wczepiając się w rękaw Returna. – Obiecuję, że więcej nie będę zawracał ci głowy – mówił gwałtownie, patrząc mu prosto w oczy. – To naprawdę ostatni raz.

– Głupio się tu czuję. To nie moje miejsce – powtarzał, kiedy Return zaproponował którąś z kawiarni przy rynku. – Chodźmy trochę dalej, do knajp, które znam lepiej. Ale Return był nieustępliwy. – Nie mam czasu. Siadamy w „Redolfim”. Nie przejmuj się. Ja płacę – powiedział, jakby trzeba było o tym przypominać.

Srebrna cukiernica. Srebrna łyżeczka na porcelanowym talerzyku pod filiżanką z kawą. Żółta kremówka wykluwa się z porcelanowej skorupy. Przed Struną na blacie szklaneczka wódki i butelka wody. Południowe słońce wzbija się już wysoko i oświetla postacie, które jak zawsze wypełniają rynek, ale teraz stają się bardziej ruchliwe, wysupłują z

zimowych kokonów i przeciągają czując nadchodzącą wiosnę. Kobiety uśmiechają się do swych myśli. Return patrzy przez szybę obok głowy Daniela, obcego człowieka, do którego mógłby się przysiąść, aby wypić kawę i popatrzeć na wiosnę nadchodzącą nad krakowski rynek.

Niespodziewanie czuje, że rynek wypełnia się przeszłością. Niemal widzi niewyraźne postacie, które zatrzymywały się w tym miejscu, dziesięć, trzydzieści, sto lat temu. Tu rozegrała się także historia ich grupki, nieważna na tle dziejów miasta i kraju. Ktoś opowiadał mu, że przeszłość nie umiera, nie może umrzeć. Coś z nią się musi z minionymi wydarzeniami i ich bohaterami. Ich gestami i słowami. Przestrzeń musi zachowywać ich ślady. Ukrywają się w niej i tylko niekiedy odzywają niespodziewanie. Wtedy przeszłość dosięga nas. Na co dzień jednak potrzeba wysiłku wyobraźni, aby ją przywołać. Ćwierćwiecze temu przy wódce mówił to Daniel. Return zżymał się na tę domorosłą metafizykę, ale teraz chciałby zobaczyć dawny rynek, chociaż może nie ten, który dzielili z Danielem dwadzieścia kilka lat temu, może lepiej ten sprzed stu lat. Fiakry, spokojny rytm spaceru mieszczan na swoim miejscu i w swoim czasie...

Ale Struna podnosi głowę znad blatu, czarne szczeliny oczu pogrążone głęboko w twarzy szukają go i Return nie może już odwracać się i patrzeć na rynek...

Spogląda więc na niego. Nie może uwierzyć, że to był kiedyś ich lider. Ćwierć wieku temu wpatrywał się w Daniela z mieszaniną podziwu i zawiści. Teraz sylwetka chudego, załamującego się pod własnym ciężarem obszarpańca nie potrafi udźwignąć tamtego wizerunku nieomal atletycznie zbudowanego przystojniaczy, efeba, który śmiał

się, wyzywając świat. Wtedy myślał, że chciałby go poddać próbie. A może, choć nie zdawał sobie z tego do końca sprawy, marzył, żeby go upokorzyć. Żeby nie prowokował każdym, tak pewnym siebie, gestem.

Papieros nad popielniczką w przykurczonych palcach Struny wzbija się równą, cienką nitką dymu prosto w sufit.

– Nie mówiłem o tym z nikim – duka ponuro, wypijając duszkiem pięćdziesiątkę – wiesz, jak zamknęli mnie...

– Nie mówiłeś o tym, co się stało, kiedy cię zamknęli? – Zauważa raczej niż pyta Return, z powątpiewaniem, właściwie tylko po to, aby przerwać ciszę, która zmienia się w papierosowy dym. Daniel podnosi twarz. Wpatruje się w niego i Return zaczyna czuć się niepewnie.

– Nigdy nie mówiłem o tym, co naprawdę się tam stało. Nikomu nie mówiłem o wszystkim, co tam zaszło – nieomal charczy Struna. – Na początku... był tam jeden, który podskakiwał mi. Pod celą. Pobiliśmy się. Rozdzielili nas, ale poszedłem za to do karceru. Potem przenieśli mnie do grypsujących. Czterech ponurych osiłków. W nocy rzucili się na mnie. Bronilem się. Nie miałem szans. Gwałcili mnie, jeden po drugim. Bili i pierdolili, bili i pierdolili. Rozumiesz?! – Daniel krzyknął nieomal. Return podskoczył na krześle.

– Uspokój się, tu są ludzie. Nie rób przedstawienia – powiedział pewnie, choć zbiegły koniec jego zaciśniętych na blacie palców. Para w średnim wieku dwa stoliki obok wyraźnie zaczęła zerkać w ich kierunku.

– Dobrze. Przepraszam. – Daniel przycichł i zwiesił głowę nad stolikiem. Długawe, skołtunione włosy dotykały blatu.

– Do teraz pamiętam... Budzę się z bólu. Najróżniejszego bólu. To byli specjaliści. Umieli sprawiać ból. Zgniatali mi jądra. Dusili. Nie wystarczało im, że jebią. Chcieli, żebym im obciągał. Zmuszali mnie...

– Bez tych szczegółów! Dobrze?! – Return zorientował się, że teraz to on nieomal krzyczy. Para gapiła się w ich kierunku prawie bezczelnie. Dwóch facetów nieco dalej również spojrzało z zainteresowaniem. Tylko grupa pogrążonych w szczeniocie dziewcząt nie zwracała na nich uwagi.

– Dobrze. Bez szczegółów... – zaklekotał czymś w rodzaju śmiechu Daniel.

– Sam nie pamiętam ich zbyt dobrze... To było kilka dni. Kilka dni i nocy... I to, co się działo, wspominam jak jakiś sen. Nawet zasypiałem, chociaż mogłem spać tylko na posadzce obok kibla, ale miałem wrażenie, że budzą mnie zaraz kopniakami albo szczają na mnie... Dobrze, bez szczegółów, tylko że bez szczegółów... nie zrozumiesz. Nikt nie zrozumie. Dobijałem się do drzwi, choć bili mnie za to. Gasili na mnie papierosy. Nikt nie odpowiadał. Wreszcie, kiedy przyszedł kalifaktor, narobiłem wrzasku. Dołożyli mi strażnicy. Wzięli na pasy, trzymali tyle godzin... myślałem, że zdechnę, a potem do kabaryny... no, wiesz, izolatki.

– Wiem. – Return starał się patrzeć obok głowy Daniela na rynek, ale widział niewiele.

– Potem wróciłem i zaczęło się znowu. Przestałem jeść i pić. Zmuszali mnie. Zmuszali, żebym pił z kibla i... Wrzeszczałem, usiłowałem się dobijać. Znowu to samo. Znowu pasy i kabaryna... A potem trafiłem na przesłuchanie. Było ich kilku. Oficer i paru po cywilnemu. Dobrze się bawili. Pytali, dlaczego tak wyglądam. Dlaczego tak śmierdzę, dlaczego się tak trzęsę... Dlaczego... Skąd mam te znaki... Potem przestali się bawić. Kazali podpisywać współpracę. Grozili, że inaczej wrócę pod tę samą celę. Że tamci wytatuują mi na twarzy... na pysku, że jestem cwel i kapuś... Cały czas mówili do mnie „cwełu”, „parówo”... Co jakiś czas śmiali się znowu. Opozycjonista jebany w dupę, zaśmiewali się. Szmata, którą gary wycierają podłogę. Ludzki kibel. Cwel, jak wy wszyscy, my wszyscy. Mówili, że nikt nie przeżyje takich trzech lat, takiego piekła, jakie mi zrobią pod każdą celą... – Daniel rzeził. Wypijał kolejne wódki, ale nie było widać, żeby robiły na nim wrażenie. Na chwilę przerwał.

– Daj spokój! – Return ujął go za ramię. – Po co to opowiadasz? Przecież nikt nie może mieć o to do ciebie pretensji. Spróbuj zapomnieć – mówił i zauważył, że trzęsie się mu głos. Daniel nie słyszał.

– Podpisałem. Kazali mi napisać wszystko, co pamiętam. Napisałem im... Nie, nie wszystko. Ale coś – tak. Kazali mi napisać, jak można was złamać. Każdego, po kolei. Powiedziałem, że nie wiem. Pisałem cokolwiek. Ale coś napisałem. Coś napisałem. Nie byli zadowoleni. Wrzeszczeli na mnie, dostałem po gębie, ale wtedy nic nie czułem.

Zawlekli mnie pod tę celę, mimo że się zapierałem. Ale okazało się, że każą się pakować. Przenieśli gdzie indziej. Dochodziłem do siebie. Wzywali co jakiś czas. Kazali coś konsultować, coś pisać. Wykręcałem się, ale coś pisałem. Coś pisałem. Byli niezadowoleni. Wściekli. Zapodali pod celę, że jestem cwel. Zaczęło się piekło. Bicie i gwałcenie. Nie miałem siły się bronić. Ale próbowałem. Dobijałem się do drzwi. Krzyczałem. Znowu pasy, kabaryna. Znowu kazali coś pisać. Potem dali spokój.

Wyszedłem w marcu, w osiemdziesiątym. Po trzech latach. Prawie trzech latach. Zamknęli mnie 7 maja. Pamiętam dokładnie. Prawie trzy lata. Niedużo. Niektórzy siedzieli pięć razy tyle. Ale ja... Piłem, plątałem się po mieście, ale unikałem was. Pamiętasz?

– Pamiętam. Dobrze pamiętam.

– A pamiętasz Jolę?

Czy pamiętała? Oczy Joli błyszczą obok jego twarzy, jej palce dotykają jego ręki...

– Jola wyjechała, prawda? Wyemigrowała? To było chyba w osiemdziesiątym roku. To też moja wina. Chciała być daleko ode mnie...

Czy on się nie przecenia?! Return ze złością wpatrywał się w opadającą nad stolikiem głowę. Czy w ogóle coś jeszcze znaczył dla niej wtedy ten szmatławy alkoholik?

– Jola czekała na mnie. Usiłowała ratować od picia. Ale ja wiedziałem, że to tylko końcówka... Będzie tylko uciekanie. Przed wami, przed sobą. Przed nią.

– Dobrze. W porządku. Ale do pierdła trafiłeś poniekąd na własne zamówienie. Nie jako polityczny... – Return ze złością celuje tymi słowami w skołtunioną głowę pochylającą się przed nim, w tego wspaniałego Daniela, który nie wytrzymał próby, okazał się gnojkiem, a teraz podnosi twarz...

– Czemu to powtarzasz?! Przecież nie miałem nic wspólnego z tym skokiem! Nawet skazali mnie tylko za współudział. Tylko trzy lata. Przecież mnie wrobili... To była głupota, owszem, zadawanie się z tymi kryminalistami. Wiara, że mój dawny kumpel Beton jest tym Betonem, którego pamiętałem... Romantyczne urojenia, ale to wszystko, no, prawie...

– No właśnie. Prawie. Nikt nie może cię oskarżyć za to, co stało się w więzieniu, ale to pajacowanie wcześniej... Pomoc kryminalistom, szkice... – Twarz Daniela krzywi się, koniuszki ust opadają ku dołowi, drżą i Return żałuje już swoich słów. – Niepotrzebnie to powiedziałem, przepraszam...

– Może masz rację. Bawiłem się w pomoc romantycznym buntownikom, peerelowskim bandziorom... Nie to mam jednak sobie do wyrzucenia. Nie o to... Ja mogę, muszę oskarżyć się o to, co stało się w więzieniu. I ciągle to robię. Ciągle powtarzam, że nie byłem

wystarczająco silny i odważny, ciągle przypominam sobie każdy moment i pytam się... Ciągle uświadamiam sobie, że zawsze jest coś do zrobienia i... I można mnie potępić za to, co zrobiłem potem. Może Jola... – Daniel wciąga głęboko alkohol i dym. Patrzy na Returna...

– Pobiłem ją. Pobiłem ją parę razy. I wreszcie zbiłem ją strasznie. Byłem pijany. Ona była kolejnym wyrzutem. Nienawidziłem jej, bo była taka szlachetna, taka piękna, kurwa, nie przeżyła takich prób, jakie miała prawo obnosić swoją nieskalaną urodę? Tłukłem ją, nie pamiętam, a właściwie pamiętam, jakbym chciał zniszczyć jej twarz... Kiedy ocknąłem się, uciekłem. Bo ja piłem, żeby uciec. Zanim wyszedłem, wezwali mnie. Powiedzieli, żebym wrócił do was, nawiązał kontakty, a potem raportował im. Że jeśli tego nie zrobię, poinformują was, że jestem kapuś. Przekażą moje raporty, moje oceny, moją deklarację współpracy, a potem zamkną mnie jak za pierwszym razem. I puszcza za mną wiadomość, że jestem kapuś i cwel. Powtarzali: parowo, nie ma dla ciebie życia, szmato, twoja jedyna szansa to my... Piłem, żeby być bezużyteczny. Raz złapali mnie. Szarpali: dlaczego tak mało się z wami kontaktuję? Kazali pisać. Pisałem brednie. Symulowałem delirkę. Grozili, wrzeszczeli, przyłożyli nawet kilka razy, ale miałem wrażenie, że już bez przekonania. Alkoholizm chronił mnie. Chronił mnie także przede mną samym, znieczulał. Uciekłem do Przemysła. Chciałem daleko od Joli. Właściwie myślałem, że jestem tchórz, że ze sobą nie kończę. Myślałem o tym ciągle. Myślę. Może jestem tchórz, a może jakoś wiem, że mam tu jeszcze rachunki... Bo myślałem, że ktoś mnie przecież wystawił. Że może to nie tylko Beton, choć i jego chciałem znaleźć. W Przemysłu pracowałem na dworcu i piłem. A potem był sierpień. Wytrzeźwiałem. Myślałem, że wszystko się zmieni. Zacząłem organizować Solidarność. Zostałem nawet wybrany do zarządu w Przemysłu. Nie piłem dziewięćdziesiąt osiem dni. Wtedy się pojawili. Znowu straszili. Ogłoszą, że jestem kapusiem, jeśli nie zacznę

donosić. Pamiętam, siedziałem w takiej knajpie nad Sanem. Wyszedłem od nich jeszcze bardzo godnie. Powiedziałem, że muszę się zastanowić. Piłem kawę, choć tak bardzo chciałem napić się wódki. Piłem kawę i myślałem, że powiem w zarządzie. Powiem, że w więzieniu mnie złamali. Podpisałem, ale to koniec. Nigdy więcej nie odpowiem na żadne pytanie ubeka. Ci, którzy mnie wybrali, moi koledzy, mogą na mnie liczyć. Wyobrażałem to sobie i prawie przestawało mi się chcieć pić. Ale potem zrozumiałem, że będę musiał powiedzieć im, jak mnie złamali. I zrozumiałem, że tego nie zrobię. Nie potrafię. Zamówiłem butelkę wódki. Nie podali mi. Musiałem zamawiać po setce. Pamiętam jak piję dziewiątą z rzędu. I myślę, że to już koniec. Potem będą już tylko kolejne kieliszki i kolejne kace. Przepiłem wszystko, co miałem. Potem był szpital. A potem wyjechałem z Przemyśla. Dziwne, ale jakoś żyłem. Jeździłem po Bieszczadach. Pracowałem jako pilarz, potem jako wozak. Piłem. Były nawet jakieś kobiety. I... pisałem wiersze. Ciągłe je piszę. Nawet w więzieniu układałem jakieś. Obserwowałem stan wojenny i chciało się mi wyc, bo nie mogłem się w nic zaangażować. Bo znowu by mnie znaleźli. Ale żyłem. Jakoś uporczywie trzymałem się życia. Może dlatego, że zobaczyłem, że wszystko wokół mnie nie tylko obumiera, ale i rodzi się na nowo. Zacząłem walczyć z alkoholem... Ale nie będę opowiadał ci swojego życia. Bo to przecież, mimo wszystko, było jakieś życie. A potem był Okrągły Stół i wybory. I rząd Mazowieckiego. Komuna waliła się. Przyjechałem do Krakowa. Nie wiem, po co. Myślałem, że może zacznę na nowo żyć. Przyznam się do wszystkiego. Tylko że nikt nie był zainteresowany. Ani mną, ani moimi wyznaniem. To znaczy, nie to, że komuś się narzucałem. Tylko nagle okazało się, że tamte sprawy są nieważne. A dla mnie były zasadnicze. Paru kolegów z dawnych lat chciało mi pomóc. Nikt nie był jednak zainteresowany tym, co przeżyłem. Moją martyrologią, jak śmiali się, kiedy próbowałem opowiadać. Adamski załatwił mi robotę magazyniera. I mógłbym jakoś żyć, gdyby nie woda. Gdyby nie to, że niespodziewanie zaczepił mnie na ulicy jakiś facet, obok niego pojawił

się następny i zaciągnęli mnie do knajpy. Tłumaczyli, że nie mam się czego bać. Byłem jak sparaliżowany. Komuna upadła ponad rok wcześniej, Wałęsa wygrywa wybory, a ubecy obiecują mi bezpieczeństwo. Chciałem dać im w mordę, ale nie dałem. Chciałem opowiedzieć o nich. Ale komu? Jak? W dziwny sposób zacząłem się ich bać. Pewnie o to im chodziło. Tylko czego mam się bać? Dziwi mnie przecież, że ciągle jeszcze żyję. Ale może trzeba to wreszcie podsumować. Rano rzygam żółcią. Zrobiłeś karierę. I słusznie. Cieszę się. Ktoś z nas. Jakby za nas. Inni porozjeżdżali się. Pogubili. Ty trwasz, rozwijasz się. Ja jestem stracony i straciłem orientację. Nie rozumiem waszej strategii. To w mojej obronie, może powiesz. Ale nikt nie pytał mnie, czy chcę takiej obrony. Widzę, jak ten kraj się kurwi. Widzę, co się dzieje z naszymi przyjaciółmi. Wiem, że jesteś uczciwy... Jesteś moim przyjacielem, choć może wolałbyś powiedzieć, że nim byłeś. Daj spokój – Daniel machnął ręką na nieszczerze gesty Returna. – Dla mnie jesteś przyjacielem. Wierzę ci. Wierzę w twoją uczciwość. Ale cię nie rozumiem. Nie rozumiem was. Coście zrobili? Coście zrobili z tym krajem? Może to mój przeżarty wodą mózg śle bezsensowne impulsy. Ale ja chciałbym być osądzony! Chciałbym móc się przyznać i wysłuchać prawdziwego wyroku. I dlatego opowiadam ci to. Dlatego od kilku miesięcy usiłuję się dowiedzieć, kiedy przyjeżdżasz do Krakowa i czyham na ciebie. To nie parę złotych, które mi regularnie fundujesz i za które jestem wdzięczny. Zwłaszcza, że Ty nie odliczasz mi precyzyjnie ceny półlitrowki, jak niektórzy z naszych dawnych znajomych. Ja polowałem na ciebie, żeby powiedzieć ci to, co powiedziałem dziś. Może dlatego jeszcze dotąd nie umarłem. Nie wzdrygaj się. Tylko trochę egzaltacji, której mi potrzeba. Proszę cię. Opowiedz naszym przyjaciołom... Tak jak ja tobie. Opowiedz moją historię. Mam do ciebie zaufanie. Myślałem, myślę, że ktoś mnie wtedy zrobił. Nie tylko Beton. A wiesz, spotkałem go. Też nie wygląda dobrze. W knajpie. Był pijany. Chciałem go bić. Potem mi przeszło. Bełkotał coś. Mówił, że wszystko dobrze wiedzieli. Przyszli do niego, wiedząc, że

byliśmy przyjaciółmi. Ten zdegenerowany menel, który wsadził mnie do pierdła, którego zeznania posłużyły im; mówił o nas, że jesteśmy przyjaciółmi. Ten pierdolony gar... Mówił, że to ktoś z nas, z naszego kręgu, z waszej ferajny, powtarzał, wszystko nagrał. Bo ubecy wszystko dokładnie wiedzieli. Może tak chciał się usprawiedliwić... Ktoś, kogo nazywali Betonem, a może... Zresztą, wszystko jedno. Może się myłę. Nie będę ci już zawracał głowy. I tylko tak żałuję, że nie powiedziałem tego wszystkiego Joli, że stchórzyłem i nawet nie wiem, czy dziś, gdybym zobaczył ją, stać by mnie było na tę odwagę... Ale, w każdym razie, mógłbym prosić ją o wybaczenie i tak bardzo żałuję, że nigdy już tego nie zrobię...

Return przypomina sobie, jak obejmuje Jolę i powoli rozpina jej bluzkę, jak niezdarnie mocuje się ze stanikiem, aż wreszcie przy jej pomocy udaje mu się go zdjąć. Pieści jej piersi, kiedy ona sama zdejmuje spodnie i majtki. I wreszcie, pewnie za prędko, Return wsuwa się w nią, ale czuje już, że nadpływa rozkosz, i nawet nie wie, czy to skurcz jego jąder czy świadomość, że to on wypiera z niej Daniela, którego już nie ma, który jest już nikim. Jola oddycha gwałtownie, aż wreszcie zaczyna krztusić się swoim oddechem, jakby płakała, i Return przez moment z satysfakcją całuje jej twarz, jej łyzy, zanim Jola przewróci się na bok, powtarzając: „Przepraszam cię”. Wtedy już wie, że chodzi o coś, o kogoś innego. Ale i tak, pieszcząc jej biodro, czuje satysfakcję. A potem słyszy: „Przepraszam, przecież tak tego chciałam. Jesteś taki dobry. Przepraszam, że dziś nie do końca potrafię być twoja...”

– I jeszcze chciałbym ci dać moje wiersze. Nikomu nawet o nich nie mówiłem. Nie próbowałem drukować. Wiedziałem, że nie mam prawa. Może, gdybym powiedział... Przyznał się. Gdyby dano mi... Czyściłem je ostatnio. Zostawiłem sto dwadzieścia osiem. Widzisz. Pamiętam

dokładnie. Sto dwadzieścia osiem. Dałbym ci je. Zrób z nimi coś. Może ktoś je wyda? Zresztą, zrób, co chcesz. I opowiedz to wszystko. Chciałem to opisać, próbowałem nawet, ale nie byłem w stanie. Przekaż...

– Przekażę wszystko – powtarza Return, w tym momencie wierząc nawet w to, co mówi, choć już nie wie, czy słyszy to jego rozmówca Daniel Struna, który nieco chwiejnie podnosi się od stolika, niepewnie wychodzi z kawiarni i odchodzi, idzie przez rynek, oddalając się od Returna i znikając z jego życia.

Co myśli Return idąc przez Rynek i próbując dojść do siebie, przywrócić realność otaczającemu go światu, który przez moment rozpadł się na niewyraźne refleksy światła i czasu? Ludzie byli przeźroczyści i nieważcy, a mury miasta parowały i ulatniały się w słońcu. Wspomnienia bolą, jak boli opowieść Struny. Przeszłość rani. Dlatego należy zostawić ją, pozwolić jej obumierać, ściekać w ziemię, jak śniegom minionej zimy. Ale ona nigdy nie umiera do końca, jest groźna, czyha, trzeba unikać jej, oswajać...

Return wie o tym, zawsze wiedział, pilnował się i zabezpieczał, a mimo to dopadła go teraz. Dopadła go pieprzona przeszłość, pieprzona przeszłość w osobie pieprzonego Struny, który cały utkany jest z niej i, jak ona, ciągle nie chce umrzeć. Sam sobie jest winny. Pograżony we wspomnieniach, rozpamiętuje je i egzaltuje się. Ma, na co sobie zasłużył. Taki był pewny siebie te dwadzieścia kilka lat temu. Okazał się taki, jak wszyscy. Return wie to już, wie, że nie ma bohaterów, ale czy wiedział wtedy? Czy nie dlatego chciał wydać Daniela na próbę, której tamten nie sprostał? A potem? Przecież wystarczyło się przyznać, ale

tamten wolał brnąć w alkoholizm, autodestrukcję, aż doprowadził się do tego żałosnego stanu, w jakim jest dziś. Pycha ukarana. Tak sklasyfikować można historię Struny. Sklasyfikować i zamknąć z nadrukiem: przypowieść z gatunku pycha skarcona. I był ktoś, kto posłużył jako ramię opatrności, tak Return myślał wtedy, nie znając szczegółów sprawy. Myślał: załatwili go w więzieniu. Myślał z pewną satysfakcją, jak musi to przyznać przed sobą dzisiaj, ale nie wdawał się w detale. Facet odsiedział, załamał się, przestraszył, uciekł, rozpił i tyle. Tak ulatniają się mity naszej młodości, rozważał wtedy z nostalgią, ale i domieszką satysfakcji, zadowoleniem wzmacnianym możliwością romansu z Jolą, co stało się realne dopiero wtedy, gdy Struna ulotnił się z Krakowa. Bohaterowie uciekają, a nam zostają ich kobiety, myślał wtedy. Tylko że Jola, kobieta... wszystko było trudniejsze niż sądził i bolesne, bardziej bolesne niż mógł wówczas przypuszczać. Ale to już także przeszłość, odległa przeszłość, która zniknęła, wyjechała wraz z Jolą. Został Struna i jego historia. Teraz jednak Return zaczyna rozumieć, że może to być kolejny element szarady, którą stawia przed nami bezmyślna rzeczywistość, gdyż to my potem nadajemy jej znaczenia. Świat wraca do swoich form, a krakowski rynek zaludnia się znowu postaciami z krwi i kości. Po raz kolejny Return przypomina sobie apokryf sekty ebonitów, „Ewangelię Judasza”, którą wydano właśnie w Anglii. Dokonując zdrady, bierzemy na siebie ciężar świata – układa słowa, gdy melodyjka z kieszeni płaszcza nie pozwala mu rozwinąć interpretacji, które uspokajały go.

– Skurwysyn! – Bogatyrowicz krztusił się w telefonie.

– Kto? Co się stało? – Furia redaktora wbiła się w uszy Returna, przytłumiła głos Struny. Rozdarła gęstniejący w bladych promieniach słońca tłum na rynku.

– Wilczycki! Wilczycki zdecydował się opublikować teczkę profesora! Przyjeżdżaj natychmiast!

– Mówisz o Lwie?... – Return usiłował zyskać na czasie, aby ułożyć myśli i zrozumieć. Postacie przechodniów rozmazywały się.

– A niby o kim? Nie pierdol. Kiedy masz najbliższy pociąg?

– Ale ja mam jeszcze parę spraw...

– Teraz nie masz żadnych innych spraw! Chociaż nie, słuchaj! Zatelefonuj do Juszcza. Pogadaj z nim już dziś. Do Warszawy wróć jak najprędzej i zaraz spotkaj się z pułkownikiem. Od razu dzwoń do niego.  
– Ludzie, którzy uśmiechali się mijając i rozpoznając go, robili się coraz mniej wyraźni na płaskiej makiecie Sukiennic. Głos redaktora dudnił nad rynkiem.

– Ale powiedz, co się dzieje. Choćby po to, żebym miał o czym mówić...

– Return próbował nawiązać partnerski dialog.

– A co? Nie domyślasz się? Wielki pan redaktor się nie domyśla?! Ten młody gnój od Wilczyckiego, ten Czująno, wydobył skądś cały plik materiałów na Lwa! Podobno od sześćdziesiątego szóstego do Okrągłego Stołu. Trzeba sprawdzić, skąd to ma, bo nie z IPN-u. Ale wiem, że ma i mniej więcej wiem co. Za kilka godzin powinienem wiedzieć wszystko. Chcą to opublikować w ciągu paru dni. Dobrze, że

nie jutro. Ale są gotowi. Rozumiesz?! To nie tylko sprawa Lwa. Jeśli podważana jest reputacja takiego człowieka, to i nas wszystkich. I nie tylko. Wszystko staje się podejrzanym. Od Okrągłego Stołu po samą demokrację. Już słyszę tych populistów: bez lustracji się nie obejdzie! To będzie gównem w wentylator. Nie tylko uświni nas wszystkich. To dopiero początek. Podważy wszystko, co osiągnęliśmy. Skurwysyny już czekają. Już warczą, rwą się do władzy. Zacznie się sprawdzanie, kto skąd. Zagłębienie do rozporządzeń. Co ja ci będę tłumaczył. Juszcz musi zadąć się moralnie. No i Marecki. On jest dobry w takich sprawach.

– Michale... – Return wciągnął głęboko powietrze. – Mareckiego weź na siebie. Jeśli ja się odezwę, będzie niepokojony. On zadania chce dostawać tylko od ciebie. Przecież wiesz, że jeśli zadzwonisz, zdąży na najbliższy pociąg. Odwoła wszystko i będzie szczęśliwy. Jeśli to będę ja, będzie rozczarowany. Będzie telefonował do ciebie, żeby się upewnić. Będzie zawracał głowę. Wezwij go sam! Przyleci uskrzydłony i zrobi, co trzeba. I jeśli nawet za dużo nie wymyśli, to przyda się.

– Masz rację, Jasiu. Ech, ta twoja inteligencja. Mareckiego biorę na siebie. Ty zajmij się Juszczem. No i swoim oficerem. Teraz dzwonię do Lwa.

Redaktor „Katolickiego Przeglądu” zgodził się przyjąć go w domu już za dwie godziny. Z pułkownikiem Nowakiem umówił się na wieczór, bezpośrednio po powrocie do Warszawy.

Każde miejsce w Krakowie ma swój smak i aromat. Spod butwiejącej zimy i zgniłego zapachu wyrrywających się spod ziemi pędów Return czuł odór odległych lat. Przechodził koło wież kościoła św. Floriana, które zawsze ujmowały go swoją elegancją. Dyskutowali tu z Danielem o kościołach, pustych domach Boga. Potem z Jolą... Wchodzili do środka i oddychali ciszą...

W bocznej uliczce secesyjna kamienica zachowała jeszcze swoją dostojność, ale wyraźnie dopraszała się o remont. Jak cały Kraków. Modulowany głos Juszcza z domofonu pasował do miejsca.

Wielkie dębowe drzwi otwierają się i gospodarz zaprasza w półmrok. Regały książek pod sufit. Książek w różnych językach. Ile języków może znać Juszcz? Przy drzwiach na ścianie w złożonych ramach korowód postaci wokół studni...

– To straszne – Juszcz stukał srebrną łyżeczką w krawędź szklanki oplecionej srebrnym uchwytem. – Jak tak można? Dlaczego ludzie robią takie rzeczy? Nie spodziewaliśmy się takiej podłości już po upadku komuny, we własnym, wolnym kraju...

Return wiedział, że będzie musiał odczekać co najmniej kwadrans moralnego wstrząsu w retorycznie nienaganych frazach. Wpatrywał się w bezład książek i starał wypatrzeć jakiś rządzący nim porządek. Nie był jednak w stanie zrozumieć, dlaczego przedwojenny podręcznik psychiatrii sąsiaduje z niemiecką monografią myśli Orygenesusa i studium na temat chińskiej myśli naukowej.

– Czy w tym jednak chodzi o coś więcej niż o koszmarną pogoń za sensacją? O naigrwanie się z autorytetu czy wręcz podłość? – Tym razem Return zorientował się, że Juszczyk rzeczywiście oczekuje na odpowiedź.

– To tylko hipotezy, Piotrze – zaczął ostrożnie – ale czy przypadkiem jest, że dzieje się to w momencie, gdy rektor Lew, który, jak wiemy, jest przewodniczącym konferencji rektorów w Polsce, zainicjował wielką akcję na rzecz tolerancji, którą kolejno podejmować miały wszystkie uczelnie, aby objęła ona wreszcie swoim zasięgiem cały kraj? I właśnie teraz promotor tej inicjatywy staje się obiektem tak paskudnego ataku? To nie IPN zgłosił materiały na jego temat, ale ktoś podrzucił je do „Kuriera”, który, mówię to z przykrością, bo znam i lubię Wilczyckiego, zdecydował się wziąć udział w całej aferze. Słyszemy dużo o czwartej Rzeczypospolitej. Czy nie jest tak, że aby ją powołać, należy skompromitować trzecią? Skompromitować ludzi, którzy ją tworzyli, i to nawet takich, jak profesor Marian Lew? Człowiek bez zarzutu, wielki naukowiec, autorytet moralny? Dlatego zresztą ośmieliłem się zawracać ci głowę. Myślę, że musimy być przygotowani na tę prowokację. Tekst ukaże się gdzieś w połowie tygodnia. Dobrze byłoby zareagować od razu.

– Musimy zorganizować list. List autorytetów intelektualno-moralnych... – Juszczyk zaczął się zapalać.

– Tak, to doskonały pomysł. I oryginalny – nie mógł sobie darować Return i pożałował od razu, dostrzegając gniewne błyski w oczach gospodarza. – Myślę jednak, że istotne byłoby też zdemaskowanie całej

manipulacji. Oczywiście, na sposób dziennikarski. Należy, po prostu, zbadać sprawę.

W pociągu robił notatki. Od kiedy pamiętał, lepiej myślało mu się nad kartką papieru, choć prawie nigdy nie doprowadzał do końca szkiców, które miały wyjaśnić sytuację i zdefiniować mu model postępowania. Zwarty zapis rozsypywał się na fragmenty wypowiedzi obok nazwisk, pojedyncze zdania, potem tylko słowa, łączące się w geometryczne figury. Im jednak mniej konkretny był zapis, tym precyzyjniej widział swoje zadania Return.Pola przykrywał brudny śnieg. Gdziekolwiek topniał, odsłaniając niewyraźne bryły gruntu. Skręcały się na nich martwe badyle. Wiosna ciągle nie nadchodziła. Kłębiła się, grzęzła w kleistej ziemi pod ciężarem wilgotnego śniegu.Return starał się nie dostrzegać towarzysza z przedziału. Liczył, że widząc go pogrążonego w pracy, nie zdobędzie się na próbę rozmowy ze znaną postacią. Za oknem dzień gubił się w mokrych zaułkach Milanówka.

Taksówka z Dworca Zachodniego zawiozła go na róg ulic już na skraju Konstancina, dziesięć minut drogi do willi pułkownika Nowaka. Return trzymał się środków ostrożności, których domagał się gospodarz. Współgrały one z nawykami, które od dawna kształtowały jego zachowanie i stały się jego drugą naturą, choć ostatnio, czasami, zaczęło mu przychodzić do głowy, że może już od nich odejść. Wysiadł niemalże w ostatnim momencie na dworcu, gdzie zwykle było pusto i każdy ogon byłby widoczny od razu. Zatrzymał taksówkę wystarczająco daleko i przedzierał się przez pustkowiec nocnego Konstancina, sprawdzając po wielekroć, czy nikogo za nim nie ma. U Nowaka był dopiero trzeci raz, choć znali się już tak długo. Pułkownik nie życzył sobie wizyt w sytuacjach innych niż zupełnie wyjątkowe.

Spoza gęstego, wysokiego żywopłotu i sosen stanowiących kolejną barierę nie sposób było ujrzeć willę. „Niech ci arywiści chwalą się swoimi domami, ja swój mam dla siebie”, powtarzał Nowak, szczególnie pieszczotliwie wymawiając obce słowo. Ale jego pałacyk przewyższał wielkością i luksusem chyba wszystkie wokół już od okazałych, oświetlonych podejść prezentujące swoje bogactwo. W posiadłości Nowaka trzeba było przejść niespecjalnie reprezentacyjną drogą kawałek nieomal dzikiego, gęsto zadrzewionego parku, aby spoza drzew (kocham drzewa, to przez moje chłopskie pochodzenie – zwykły kokietować pułkownik) zaczął wyłaniać się eklektyczny, niesymetryczny zameczek z wieżyczkami, balustradami, licznymi tarasami i balkonikami, który dopiero z bliska zaczynał imponować swoją wielkością. Architektoniczną fantazją zadziwiał już wcześniej. Nim jednak można było nacieszyć nią wzrok, należało odczekać jakiś czas przed bramą posiadłości, gdy ochroniarze brali na smycz lub zamykali kilka wielkich rottweillerów hasających w obrębie ogrodzenia.

Ochroniarz szedł, wskazując znaną Returnowi drogę do drzwi pałacowych, gdzie przejął go kamerdyner i zaprowadził do gospodarza. Nowak siedział przy kominku wpatrzony w wielkie przyozdobione witrażem okno ze szklaneczką w dłoni.

Return przypuszczał, że należy on do najbogatszych Polaków, chociaż nigdy nie pojawiał się w rankingach, którymi z namiętnością przerzucały się kolorowe pisma. Jak często podkreślał, dbał o swoją prywatność. Return nie wiedział nawet, czy Nowak ma jakąś rodzinę poza jednym napomknięciem o córce, która skończyła studia za granicą.

– Witam, witam w moich skromnych progach redaktora, chlubę polskiej żurnalistyki! – Zażywny sześćdziesięciolatek otworzył w kierunku Returna ramiona, ale skończyło się na uścisku dłoni.

– Więc niedobrzy ludzie chcą się zamachnąć na profesora Lwa. Mariana Lwa. Nasz autorytet moralny i nie tylko... – Nowak zawsze usiłował utrzymać ironiczną tonację wypowiedzi, choć nie zawsze mu się udawało. – Ale zamach na nasz autorytet to zamach na nasze wartości – Nowak zaśmiewał się, zadowolony z siebie – na naszą wolną, niepodległą i praworządną ojczyznę. Na nasz etos. A na naszą ojczyznę, nasz kraj, zamachnąć się nie pozwolimy, a ręce podniesione zostaną... jak to było powiedziane... Czy wiesz, skąd on może mieć te materiały? – to pytanie było już zupełnie serio.

– A jesteś tak zupełnie pewny, że w IPN-ie nic nie ma? – Dopytywał się Return, wyciągając się w fotelu i popijając osiemnastoletni Chivas.

– Coś może być – prychnął Nowak – pewności mieć nie można. Ale z tego, co wiem, to jeśli nawet znajdą się tam jakieś papiery, to wymagałyby dużo pracy, aby zrobić z nich coś w rodzaju dowodu. O ile wiem, informacje w nich to byłyby, no, jak się to mówi, to byłyby... poszlaki, no właśnie, poszlaki. Wiesz... Potrzebna jest interpretacja, a sądy lustracyjne tak daleko się nie posuną. – Zaśmiał się znowu. – Ja, zresztą, już wiem, że Wilczycki, a właściwie ten, jak mu tam, Czumno, nie z IPN-u ma materiały. Ktoś musiał mu podkablować – to Nowak powiedział już wręcz groźnie. – I ja domyślam się, kto to mógł być. Wiem...

– No, no, chapeau bas, panie pułkowniku, parę godzin...

– Nie mów do mnie: pułkowniku. Powtarzałem ci. Nawet żartem i nawet, gdy jesteśmy sami – Nowak nie żartował. – Potem zapomnisz się i powtórzysz tam, gdzie nie trzeba. Już paręnaście lat w cywilu. Zapomnij, kim byłem. Kim byliśmy! Wszyscy! – dodał zgryźliwie, ale zaraz zawahał się i spojrzał na Returna: – No, w rozsądnych granicach. Zapomnij w granicach rozsądku. Coś przecież musisz pamiętać – roześmiał się raptem i poprawił w fotelu.

– Materiały Czułnie podrzucił gość od nas. Ze służb. Na mojego nosa to odprysk innej sprawy. Domyślam się, o co chodzi. Przypominam sobie te paliwowe awantury. Coraz większa forsa, coraz większe ciśnienie. Kurwa – twarz Nowaka wykrzywiła się, nie przypominała już oblicza jowialnego szlagona z prowincjonalnego dworku – ta bezkarność ich rozpuściła. Trzeba im przypomnieć, że to nie przelewki. Chodzimy po coraz gęstszym polu minowym, choć forsa coraz większa, a może właśnie dlatego. Ostrzegałem. Jak tak dalej pójdzie, to wreszcie i za nas się wezmą. Nie wystarczy naszych sędziów i prokuratorów. To już inne czasy.

Nowak zerwał się z fotela i zaczął chodzić przed kominkiem coraz szybciej i szybciej. Jego twarz skurczyła się jak pysk gotowego kąsać zwierzęcia. Return nigdy nie widział go tak wzburzonego. Szkoda, że żaden ochroniarz nie może wziąć go na smycz, pomyślał. Dopił whisky, bezwiednie uderzając zębami o szklanę.

– Trzeba przywrócić porządek – wyrzucił z siebie Nowak. – Lojalność. Trzeba dać nauczkę. I ja to załatwię. Trzeba zrobić pokazówkę. No, ale ciebie to już nie obchodzi – odwrócił się do Returna znowu rozluźniony, jakby nagle przypominając sobie o jego obecności. – Ty masz inną robotę. Pomyślałem o twoim programie.

– Ja też.

– To dobrze, że podobnie myślimy. To też będzie pokazowa. Każdy w swojej specjalności. – Nowak roześmiał się. Śmiał się jakiś czas, popijając whisky, wyraźnie rozbawiony.

– W każdym razie, wiesz, ty możesz wziąć na siebie główne zadanie. Załatwić, no, nie... – Nowak znowu ostrożnie dobierał słowa – obnażyć konsekwencje prowokacji Wilczyckiego. Pokazać, że otworzył on puszkę Pandory, która gotowa zmienić nasze życie w piekło pomówień. – Nowak uśmiechał się wyraźnie zadowolony ze swojej kwestii.

– Nie wiem, czy nie przeceniasz moich możliwości. Jak to sobie wyobrażasz? Mogę zakwestionować oskarżenia Wilczyckiego, ale przekreślić je?...

– Myślałem o tym. Pewnie masz z nim dobre stosunki. No, z Wilczyckim – dodał niecierpliwie w odpowiedzi na pytające spojrzenie Returna.

– Jak z wszystkimi, nieźle.

– No właśnie. Zaprosisz go do swojego bezstronnego programu. Musi wierzyć, że to program jak inne, choć i tak będzie już podenerwowany. To ważne. W każdym razie wszystko będzie jak trzeba. Bezstronny ekspert z IPN-u to Zimiński.

– Tak, rzeczywiście, to właściwy wybór.

– A myślisz, że z kim mówisz? Z p-r-o-f-e-s-j-o-n-a-l-i-s-t-ą

– Nowak wyciągał to słowo w nieskończoność nalewając sobie kolejną szklaneczkę. Po chwili, zauważając gest Returna, nalał i jemu. – Dobieranie odpowiednich ludzi to moja specjalność. No nie? – Uśmiechnął się pełnym garniturem lśniących implantów.

– Najważniejszy jest jednak sojusznik. Sojusznik dla Wilczyckiego. Żeby poczuł się pewny. Żeby się rozluźnił. Najpierw myślałem o wariacie. Takim, co to będzie wyjaskrawiał tezy wynikające z rewelacji Czułny, a tym samym kompromitował je. Wrzeszczał, że tu sami ubecy i tym podobne. – Nowak promieniał coraz bardziej. Był w swoim żywiole. – Ale potem zrozumiałem, że to tylko element. Nie najważniejszy. Jeśli dasz radę takiego zaprosić, to dobrze, choć nie wiem, czy zmieścisz tylu gości. To możesz załatwić przez felietony filmowe. Tak je nazywacie? Prawda? – Nowak lubił podkreślać swoje obycie. – Kilku rzeczowych komentatorów zaniepokojonych tym, co się wydarzyło, i zwolennik Wilczyckiego, wariat, który mówi prawie o szubienicach. Najważniejszy

jest jednak sojusznik redaktorka „Kuriera”. Szacowny prawicowiec, na którego ten będzie liczył. A prawicowiec przed kamerą wytnie mu numer. Wilczycki załatwiony. I to na wizji. Wszyscy będą to widzieli. Wszyscy zobaczą, jak redaktorek zgłupieje, jak mu zabraknie słów. Kompromitacja. No i dobrze byłoby mieć jakiegoś biskupa, który wyraziłby zaniepokojenie zdzczeniem obyczajów. Będiesz miał swój dzień. Będą cię cytowały wszystkie gazety, pokazywały ten fragment wszystkie telewizje. Zwycięstwo. Czy nie lepiej, że Wilczycki to wyciągnął? Skompromituje lustrację na dobre.

– Tylko skąd takiego prawicowca wziąć? – Zafrasował się Return, porwany już wizjami Nowaka.

– A widzisz... Wymyśliłem go. To Kostka!

– Ludzie właściwie o nim zapomnieli...

– To przypomną sobie. Przedstawisz go z całym zadęciem jako taki autorytet prawicy, nieomal prawicowego Lwa – Nowak cieszył się jak dziecko.

– No, ale skąd pewność, jak się zachowa?

– Będiesz musiał się z nim spotkać. Nie będę uczył cię, jak rozmawiać. Sam wiesz to najlepiej. Wiesz przecież, do czego prowadzić mogą rewelacje Czuliński i potrafisz to wytłumaczyć takiemu Kostce. Tylko jedno: w pewnym momencie powiedz mu, rzuć mimochodem, że

przecież do „Słowa” podrzucili materiały o nim, o Kostce. Na szczęście Michał, to znaczy Bogatyrowicz, wyrzucił je do śmieci. Poinformuj wcześniej redaktora, żeby nie był zdziwiony i nie wysypał się, jeśli będzie z Kostką rozmawiał. Wspomnij, że chodziło o jakąś prowokację z siedemdziesiątego ósmego roku, pamiętaj – z siedemdziesiątego ósmego. A biskupa najlepiej znajdzie Bogatyrowicz. Najlepszy będzie Korytko. Widzisz, ja też mam swojego typu. I to niejednego. Wiesz...

Niespodziewanie Nowak rozluźnił się i rozmarzył. Rozparł się głęboko w fotelu i spojrzał w ciemne okno. Za szybą kłębił się czarny deszcz.

– Wiesz, to może nie jest takie złe? Może to zrządzenie opatrności, a może kogoś innego? – Nowak czujnie przyjrzał się Returnowi. – Ktoś przecież mógł przygotować taką operacyjną grę. Taki gambit, po którym zaraz dajemy mata. I nie poświęcamy nic. Obronimy nasz autorytet i damy po łapach tym, którzy wyciągają je po nasze papiery. Bo sprawiedliwość musi być i sama opatrność będzie o to dbała.

*Fragment książki Bronisława Wildsteina pt. "Dolina nicości".*